

MICHAEL HONIG

# OSTATNIE DNI WŁADIMIRA P.

Tłumaczenie Monika Skowron



Ta zabawna powieść kipi zwariowaną wściekłością,  
ale potrafi też wzruszyć. „SPECTATOR”



**MICHAEL HONIG**



# **OSTATNIE DNI WŁADIMIRA P.**



**TŁUMACZENIE MONIKA SKOWRON**



**OTWARTE**

KRAKÓW 2022

Tytuł oryginału: *The Senility of Vladimir P*

Copyright © Michael Honig, 2016

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2022

Copyright © for the translation by Monika Skowron

Wydawca prowadzący: Rafał Czech

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Przyjęcie tłumaczenia, adiustacja, korekta i łamanie: Pracownia 12A

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania:  
Monika Drobnik-Słocińska

Ilustracja na okładce: Nazario Graziano / [agencyrush.com](http://agencyrush.com)

ISBN 978-83-8135-219-2

Ta powieść jest w całości fikcją. Imiona i nazwiska, postacie oraz ukazane w niej zdarzenia są dziełem wyobraźni autora i nie mogą zostać uznane za prawdziwe. Wszelkie podobieństwo do rzeczywistych osób żywych lub martwych, wydarzeń czy miejsc jest całkowicie przypadkowe.



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

## ROZDZIAŁ 1

Nie wiedział, jak długo już tam siedzi. Może minęły dwie godziny. A może dwa lata.

Nagle coś zaświtało mu w głowie, połączenie neuronów zaiskrzyło i uruchomiło reakcję łańcuchową, niczym migotanie gwiazd skrzących się w ciemniejącej, wymierającej galaktyce.

– Dlaczego tu jestem?! – krzyknął rozwścieczony. – Co ja tu robię?!

– Czekaj pan – powiedział Szeremietiew, poprawiając poduszki na łóżku.

– Na co?

– Na spotkanie.

Władimir zmrużył oczy.

– Czy wprowadzono mnie w temat?

– Oczywiście – odparł Szeremietiew ze spokojem.

– To dobrze.

Władimir skinął głową. Wyraz twarzy uległ zmianie, nie był już taki zacięty. Władimir zdążył zapomnieć, co go tak rozjuszyło. Połączenie w głowie, gdziekolwiek zapłonęło, zgasło, prawdopodobnie nie miało zaskoczyć już

nigdy, a jaźń, która chwilowo wypłynęła na powierzchnię, także zdążyła zniknąć. Siedział cicho i obserwował Szeremietiewa przy pracy. Władimir nie potrafił dokładnie powiedzieć, kim był ów człowiek, ale czuł się swobodnie w jego obecności. Miał przeczucie, że nie ma nic nadzwyczajnego w tym, że ten ściele mu łóżko i być może robi to nie po raz pierwszy.

Szeremietiew był niski, ubrany w zwykłą białą koszulę i ciemne spodnie. Gdy opiekował się Władimirem, nigdy nie nosił uniformu, ale łagodne i oszczędne ruchy, kiedy ścieleli łóżko, zdradzały spore doświadczenie w pracy pielęgniarsza. Minęło już prawie sześć lat, odkąd profesor W.N. Kalin, słynny neurolog, poprosił go, by został osobistym opiekunem Władimira. To było wkrótce po tym, jak Władimir ogłosił, że rezygnuje z prezydentury. Wówczas jeszcze, choć jego stan był widoczny dla bliskich współpracowników, prezydent wciąż prezentował się dobrze, zwłaszcza podczas starannie wyreżyserowanych wystąpień publicznych, do których skrupulatnie go przygotowywano. Następca, Giennadij Swierkow, nadal od czasu do czasu domagał się jego wystąpień publicznych, by pogrzać się w czarodziejskim ciepłku oraz uszczknąć nieco blasku sławy dla swoich coraz bardziej mizerynych rządów. Wtedy Władimir miał jeszcze własnego kamerdynera, który go ubierał, i parę doradców, by mógł brać udział w bieżących wydarzeniach, a rola Szeremietiewa pozostawała mocno okrojona, lecz gdy pamięć Władimira uległa pogorszeniu, Szeremietiewowi przybyło obowiązków. Nie minęło parę lat, a wystąpienia publiczne Władimira stały się tak nieprzewidywalne, że nawet ludzie Swierkowa zachowywali ostrożność w afiszowaniu się z nim, a plotki na temat jego kondycji – choć nigdy ich nie potwierdzono – zaczęły krążyć. Przedstawienie się skończyło. Najpierw pozbyto się obu doradców, potem kamerdynera, a na końcu Szeremietiew został z nim sam.

Pielęgniarski nigdy nie zaprzął sobie głowy polityką ani nie śledził tego, co, kto i dlaczego robi na Kremlu. Dla niego cała ta sprawa była mętną zupą, nazwiska to wypływały na jej powierzchni, to szły na dno bez wyraźnego ładunku i składu, zaś to, co działo się tuż pod powierzchnią – a dziać się z pewnością musiało, wszyscy tak mówili – przechodziło jego pojęcie. Nie był świadomy, że wedle pogłosek Władimira usunięto siłą, podczas gdy jego podstarzali kumple w ostatnich dniach przemijającej chwały kurczowo trzymali się swoich stołków. Wiedział tylko tyle, że prezydent ogłosił, iż przechodzi na emeryturę, a parę tygodni później profesor Kalin wezwał go do swego gabinetu.

– Znasz moją matkę? – spytał Władimir, gdy Szeremietiew wytrzeptał ostatnią poduszkę i odłożył ją na łóżko.

– Nie, Władimirze Władimirowiczu. Nigdy nie miałem przyjemności jej poznać.

– Przedstawię cię jej. Później się tu zjawi. Posłałem po nią auto.

Szeremietiew odwrócił się.

– Czas na prysznic, Władimirze Władimirowiczu. Będzie pan musiał ubrać się dziś odświętnie. Nowy prezydent chce się z panem zobaczyć.

Zmieszany Władimir spojrzał na niego.

– Nowy prezydent? A to nie ja jestem prezydentem?

– Już nie, Władimirze Władimirowiczu. Teraz kto inny jest prezydentem.

Oczy Władimira zwięzły się w szparki. Dawniej taka wiadomość mogła doprowadzić go do szału. Ale teraz wybuchy gniewu były rzadsze, a gdy już się zdarzały, nie trwały długo. Nic, co mówiono do Władimira, nie osadzało mu się w pamięci na zbyt długo. Jeśli już był wzburzony, to prawdopodobnie rozmyślał o czymś, co wydarzyło się dwadzieścia czy trzydzieści lat temu.

– Ktoś tu przyjdzie? – spytał w końcu Władimir. – To chcesz powiedzieć?

– Tak. Nowy prezydent. Konstanty Michajłowicz Lebediew.

Władimir prychnął.

– Lebediew jest ministrem finansów!

Szeremietiew nie miał pojęcia, czy Lebediew kiedykolwiek był ministrem finansów, ale z pewnością nie jest nim teraz.

– To nowy prezydent, Władimirze Władimirowiczu. Chce otrzymać pańskie błogosławieństwo. To dobrze, czyż nie? Znaczy, że pana szanuje.

– Moje błogosławieństwo? – Władimir zmarszczył brwi. – A czy ja jestem księdzem?

– Nie.

– To dlaczego czeka na moje błogosławieństwo?

– To metafora, Władimirze Władimirowiczu. W tym przypadku równie dobrze może pan robić za księdza.

Władimir przypatrywał się Szeremietiewowi podejrzliwie.

– Gdzie my jesteśmy?

– Na daczy.

– Której daczy?

– W Nowo-Ogariowie.

– W Nowo-Ogariowie? Dlaczego spotykam się z Lebediewem tutaj? Czemu nie w swoim gabinecie?

– Dzisiaj przyjmie go pan tutaj.

– Zamierzam zwolnić tego lajdaka. Mamy tu kamery?

– Tak, sądzę, że znajdują się tu kamery.

– To dobrze. Zobaczmy, co na to powie! – Władimir zachichotał. Przypomniawszy sobie, jak przed kamerami telewizyjnymi w Siewieromorsku pozbył się admirała Aleksieja Gorkiego, dowódcy Floty Północnej. To był ubaw po pachy.

Ni z tego, ni z owego Gorki stał przed nim jak żywy. I ten jego wyraz twarzy! Istny stary paw w za dużej czapce od munduru, zobaczył skierowane na niego kamery i myślał, że Władimir zamierza przypiąć mu kolejny medal do uginającej

się od nadmiaru odznaczeń piersi, a zanim zdążył się zorientować, wywalono go na zbity pysk.

– Tego się nie spodziewałeś, prawda, Aleksieju Maksymowiczu? I kto tu rządzi, co? Już ja cię oduczę mówić otwarcie o tym, że za mało pieniędzy idzie na flotę! – Władimir zaśmiał się, waląc pięściami w podłokietniki fotela.

Szeremietiew zostawił go samego i udał się do garderoby. Był zdeterminowany, by na wizytę nowego prezydenta jego pacjent też wyglądał jak prezydent. Stanął przed szafą pękającą w szwach od ubrań. Nigdzie się nie spieszył, rozważał różne warianty, aż w końcu zdecydował się na granatowy garnitur, jasnoniebieską koszulę, czerwony krawat w białe groszki i czarne skórzane buty. Z imponującej kolekcji zegarków Władimira wybrał taki, który uważał za prosty, lecz elegancki, z wąską złotą obudową, białą tarczą, złotymi wskazówkami i skórzanym paskiem.

Zaniósł wszystko do sypialni i rozłożył ubrania na łóżku.

– Proszę, Władimirze Władimirowiczu. Czas na prysznic. Trzeba doprowadzić pana do porządku.

Władimir spojrział na niego z powątpiewaniem.

– Dlaczego?

– Konstanty Michajłowicz chce się z panem zobaczyć.

– Lebediew? O niego ci chodzi? Powinien raczej iść do księdza.

– Czemu? – spytał Szeremietiew.

Władimir zmarszczył czoło. Tknęło go przecucie, że Lebediew potrzebuje księdza, ale nie miał pojęcia dlaczego.

– Matka mu umiera – zaproponował w odpowiedzi.

\*

Kamery rozstawiono w oficjalnym saloniku na parterze dachy, którego co prawda od lat nie otwierano, ale go na tę okazję wywietrzono i wysprzątno. Dwa fotele ustawiono pod



kątem czterdziestu pięciu stopni po bokach bogato zdobionego kominka, światło kamer padało z obu stron. W kuchni daczy kucharz Wiktor Stiepanin wraz z zespołem od świtu harowali w pocie czoła, żeby przygotować kanapki i przekąski, którymi teraz zastawiono stoły pod ścianą. Tuż obok stał rosły mężczyzna w ciemnoszarym garniturze, z grzywą bujnych siwych włosów, towarzyszyło mu dwóch doradców prezydenckich o poważnych twarzach. Pozostali współpracownicy, technicy telewizyjni i ochroniarze kręcili się przed kamerami.

Szeremietiew wprowadził Władimira. W salonie zapadła cisza. Wzrok wszystkich zebranych padł na starca w ciemnoniebieskim garniturze, który stanął w drzwiach. Pasma siwych włosów przywarły mu do czaszki, twarz pokrywały zmarszczki, do tego miał spory podbródek, a jednak za sprawą kwadratowej szczęki, szerokiego czoła oraz blisko osadzonych i nieco skośnych chłodnych niebieskich oczu wciąż z miejsca rozpoznać można było twarz, którą przez trzydzieści lat fotografowano w Rosji najczęściej.

Zagubiony Władimir spojrzał na Szeremietiewa.

– Wszystko w porządku, Władimirze Władimirowiczu – szepnął ten. – Ci ludzie przybyli na spotkanie.

– A czy ja wybieram się na spotkanie?

– Tak.

– Wprowadzono mnie w temat?

– Oczywiście.

Władimir ponownie rozejrzał się dookoła, już teraz spokojny, obejmując wzrokiem światła i kamery. Ożyły w nim pozostałości instynktu przywódcy, którym niegdyś był, wyprostował się, unióśł podbródek, a usta wykrzywił mu zarzumiały uśmiezek.

– Z kim mam się spotkać? – spytał szeptem.

– Z Lebediewem – odparł Szeremietiew.

– Oczywiście. Lebediew! – wymamrotał, a w jego głosie dało się słyszeć wojowniczą nutę, gdy spostrzegł rosłego

mężczyznę z doradcami, stojących naprzeciwko. – Czas najwyższy!

Konstanty Michajłowicz Lebediew rozpoczął swoją wspinaczkę po politycznej drabinie władzy jako burmistrz Moskwy. Łączył w sobie porywczosć osoby publicznej z tchórzliwą uległością wobec Kremla człowieka prywatnego, co czyniło z niego – jak się zdawało – idealnego poplecznika Władimira. Kiedy rozpoczął rządy, prędko zasłynął z nienasyconej chciwości, przez którą wydawał się stanowić mniejsze zagrożenie, bardziej bowiem od samej władzy interesowały go pieniądze, a takich polityków Władimir chętnie awansował. Ale z perspektywy czasu od samego początku można było dostrzec sygnały, że Lebediew jest kimś innym, niż to się wydawało na pierwszy rzut oka. Gdy jedną ręką brał łapówkę, drugą dawał coś – choćby niewielkiego – w zamian, sprytnie utrzymując przeciętnego moskwianina w stanie zadowolenia. Udało mu się to dzięki szerokiemu wachlarzowi populistycznych posunięć, które nie miały żadnego wpływu na poprawę przyszłości miasta, ale rozweseliły wszystkich kilkoma dodatkowymi kopiejkami w kieszeni. Wkrótce media okrzyknęły go Wujaszkiem Kostią, a on upajał się tym przydomkiem. Polityk, który miał wielką chrapkę na pieniądze i chciał, by go kochano, wydawał się jeszcze mniejszym niebezpieczeństwem i Władimir pozwolił mu sprawować urząd burmistrza przez drugą kadencję. Ale Władimir musiał przyznać, że nie docenił go, dając się zwieść talentowi Lebediewa do zgrywania dobrotliwego błazna. Tak naprawdę większy od chciwości Wujaszka Kostii – choć gargantuicznej – był spryt. Od samego początku Konstanty Michajłowicz mierzył wyżej i lypał okiem na kąski bardziej kuszące niż zwykle zarządzanie stolicą. Kiedy Władimir zdał sobie sprawę z sytuacji, Lebediew miał już Moskwę w kieszeni i stanowił siłę, z którą trzeba było się liczyć.

Władimir obrał sobie za cel, by zniszczyć konkurenta. Wciągnął go do rządu tylko po to, by rok później wyrzucić

go pod zarzutami niekompetencji i korupcji. Lebediew wyliżał się z tego, poniósłszy co prawda straty, ale nie śmiertelne. Z werwą wykorzystał nominację rządową, by obdzielić dochodami z krótkiej, lecz monstrualnej grabieży grupę wpływowych zwolenników. Ci mieli zupełną rację, spodziewając się dostać od niego więcej, jeśli w przyszłości zdoła odzyskać władzę. Udało mu się także zgromadzić imponujący zasób tajemnic sięgających samego szczytu Kremla – samiusieńkiej góry – co na pewno pomogło mu obronić się przed dalszymi, mogącymi go wykończyć atakami. Władimir ściągnął więc Lebediewa z powrotem i trzymał u swego boku, jednocześnie poszukując innego sposobu, by się go pozbyć. Przez kilka kolejnych dekad cykl ów się powtarzał. Wujaszek Kostia tanecznym krokiem to wkraczał do rządu, to z niego wypadał. Bezwstydnie szabrował każde ministerstwo, które powierzył mu Władimir, gromadząc jeszcze większe bogactwo i rozdając je na prawo i lewo jeszcze lżejszą ręką, aby otoczyć się kolejną kohortą popleczników, zanim znów sromotnie nie przepadnie, przy każdej dymisji wygrywając dzięki reputacji dobrej duszy i pozując na niewinną ofiarę kremlowskich spiskowców. Władimir pogardzał nim z głębi trzewi. Żywił do niego pewien rodzaj nieznośnego obrzydzenia, biorącego się ze świadomości, że ów człowiek istnieje tylko przez jego własną pomyłkę, bowiem pomógł mu wzrosnąć w siłę i nie ściął go, gdy wciąż istniała na to szansa. Iście egzystencjalna niechęć prezydenta zrodziła się z patrzenia na kogoś, kim się brzydził, a kto, kiedy pozory opadały, okazywał się jego lustrem.

Teraz zostawił w tyle Szeremietiewa i powoli ruszył na spotkanie gościowi, tak jakby wszystko działo się dwadzieścia lat temu, a on miał właśnie zamiar zadać ostateczny cios strachowi, który od tak dawna zaciskał mu się niczym pęta wokół szyi.

– Konstanty Michajłowiczu! – powitał go głośno.

Jeden z doradców Lebediewa ruszył naprzód.

– Władimirze Władimirowiczu, prezydent Lebediew przybył tu dzisiaj, by złożyć wyrazy szacunku i poprosić o kilka słów do ludu Rosji z radosnej okazji jego wyboru. Gdyby mógł pan na przykład powiedzieć...

– Siadać – powiedział Władimir do Lebediewa, wskazując jeden z przygotowanych foteli.

– Ale Władimirze Władimirowiczu... – powiedział doradca.

Władimir podszedł do drugiego fotela i stanął nad nim władczo. Lebediew zerknął na swego współpracownika.

– Poradzę sobie – mruknął.

Gdy obydwaj mężczyźni usiedli, dwóch charakteryzatorów pospieszyło i zaczęło przypudrowywać im twarze. Władimir zadarł podbródek, niecierpliwiąc się, aż skończą. Po chwili przepędził ich.

– Koniec. Wystarczy tego!

Charakteryzatorzy wycofali się.

– Konstanty Michajłowiczu, jest pan gotowy? – spytał realizator zza kamery.

Lebediew skinął twierdząco głową.

Zapalono światła. Nagle na planie zapanowała jasność. Władimir grzmotnął w podłokietnik swego fotela.

– No więc? Jak brzmi twój raport, Konstanty Michajłowiczu? Nie jestem usatysfakcjonowany! Ministerstwo Finansów to kompromitacja. Obiecałeś mi rok temu, że zaprowadzisz tam porządku. A teraz jest tam jeszcze gorzej niż zwykle!

– Władimirze Władimirowiczu...

– Tak, Konstanty Michajłowiczu? Co masz mi do powiedzenia?

Lebediew odwrócił się naprędce do swoich doradców i przewrócił oczami. Potem spojrzął na byłego prezydenta.

– Już raz wyrzucił mnie pan z Ministerstwa Finansów, Władimirze Władimirowiczu. Mowa pożegnalna brzmiała dokładnie tak samo. Zamierza pan zrobić to znowu?

- A czy mianowałem cię ministrem z powrotem?  
- Nie – odparł Lebediew.  
- Po co w takim razie tu jesteś?  
- Po to. – Lebediew chwycił dłoń Władimira i zwrócił się do kamerzystów z uśmiechem na ustach. – Proszę spojrzeć w kamery i ładnie się uśmiechnąć, Władimirze Władimirowiczu.

Władimir wyrwał rękę z uścisku.

- Jesteś oszustem, Kostio Lebediewie! Zawsze byłeś oszustem.

- Cóż, jeśli nim byłem, to nauki pobierałem u najlepszego nauczyciela w Rosji – odparł Lebediew, poruszając jedynie kącikiem ust, bo uśmiech wciąż gościł mu na twarzy. – Proszę, bądźmy ze sobą szczerzy, Władimirze Władimirowiczu.

- Szczerokość? Świetnie, będę szczerzy. Jesteś złodziejem, nikim innym.

Lebediew pochylił się, nadal z uśmiechem.

- A pan? Wiedział pan, jak zadbać o swój udział. Od czego mam zacząć? Olimpiada? Puchar świata? Obwodnica Koljajkowa, to jest najlepsze. Ta akurat będzie odbijać się Moskwie czkawką przez następne sto lat. Ile zgarnąłeś na obwodnicy, Wowa? Dwadzieścia procent?

- Powiniennem wpakować cię do więzienia. Jesteś najgorszy ze wszystkich.

- Ja? Posłuchaj, teraz to ja jestem prezydentem. Przyklej uśmieszek do swojej pieprzonej buźki, Wowa, i pogratuluj mi.

- Pieprz się, Kostia.

- Powiedz: życzę ci wszystkiego najlepszego, Konstanty Michajłowiczu. W twoich rękach Mateczka Rosja jest bezpieczna. – Lebediew czekał. – Dalej, Władimirze Władimirowiczu. Powiedz to.

Władimir się roześmiał.

– Życzę ci wszystkiego najlepszego, Konstanty Michajłowiczu. W twoich rękach Mateczka Rosja jest bezpieczna.

– W twoich rękach? Nigdy nie będziesz prezydentem, Kostio Lebediewie. Nawet Rosjanie nie zrobiliby sobie czegoś takiego.

– Dobra, nigdy nie będę prezydentem. Świetnie. To tylko taka gra. Udawajmy. Mów: życzę ci wszystkiego najlepszego...

– Czujesz coś?

Lebediew przerwał.

– Co?

– Powąchaj!

Lebediew pociągnął nosem.

– Nic nie czuję.

– Na pewno?

– To jakiś żart?

– Nie czujesz tego?

– Czego? – spytał Lebediew.

Władimir wpatrywał się w niego, a potem uśmiechnął się do siebie chytrze.

Lebediew wziął głęboki wdech.

– Dobrze – warknął. – Posłuchaj. Zrób to dla mnie, powiedz: życzę ci wszystkiego najlepszego, Konstanty Michajłowiczu. W twoich rękach...

Władimir wałnął pięścią w podłokietnik fotela.

– Nie jestem usatysfakcjonowany, Konstanty Michajłowiczu! Ministerstwo Finansów to kompromitacja. Obiecałeś mi rok temu, że zaprowadzisz tam porządku. A teraz jest tam jeszcze gorzej niż zwykle!

Lebediew obejrzał się na realizatora.

– Nie wystarczy nam to, co już nagraliśmy? Mam dosyć starego głupka.

– Chwileczkę, Konstanty Michajłowiczu.

Realizator i paru techników stłoczyli się przed monitorem komputera. Przewinęli materiał filmowy w przyspieszonym tempie, próbując sprawdzić, czy mają wystarczająco dużo ujęć, aby wyglądało na to, że ci dwaj mężczyźni odbyli przyjacielskie spotkanie przed kamerami. Były kadry Władimira uśmiechającego się do siebie, śmiejącego się z Lebediewa. Może jeśli odpowiednio się to potnie, a potem zmontuje...

Ochroniarze stali zbici w grupkę, opychając się przystawkami, nad którymi napracował się kucharz.

Władimir skinął na Szeremietiewa.

- Jakie mam następne spotkanie? - wyszeptał.

- Teraz czas na przerwę, Władimirze Władimirowiczu.

- A później?

- Obiad.

- Z kim?

- Nie jestem pewien, Władimirze Władimirowiczu.

- Dowiedz się.

- Jeśli będzie trzeba, damy radę coś z tego sklecić - realizator poinformował Lebediewa. - Ale to żadna rewelacja. Może spróbujemy jeszcze raz, Konstanty Michajłowiczu.

- Matko Boska! - syknął Lebediew. - Czyj to w ogóle był pomysł?

Zmierzył Władimira wzrokiem i pokręcił głową z obrzydzeniem. Nowy prezydent, nie umiejąc, a może nie chcąc się powstrzymać, powiedział Władimirowi jeszcze raz, co o nim sądzi. Władimir zareagował ze swadą. Wkrótce obydwaj mężczyźni obrzucali się wyzwiskami bez opamiętania, patrosząc bebechy z animozji narosłych przez dziesiątki lat, aż te wylały się na oczach wszystkich zgromadzonych w zatłoczonym pomieszczeniu.

Nagle Lebediew wstał.

- Konstanty Michajłowiczu - powiedział jeden z doradców - proszę, może warto spróbować raz jeszcze.

Lebiediew zacisnął zęby. Następnie chwycił dłoń Władimira, a na twarzy odmalowała się przyjemność tak nikła, jakby witał się z orangutanem.

– Życzę ci wszystkiego najlepszego, Konstanty Michajłowiczu – wysyczał. – W twoich rękach Mateczka Rosja jest bezpieczna.

– Nie nazywam się Konstanty Michajłowicz, ty idioto. Jestem Władimir Władimirowicz.

Lebiediew zaprezentował wymuszony uśmiech przed kamerami.

– Nie, ty masz to powiedzieć do mnie. W twoich rękach Mateczka Rosja jest bezpieczna. Gadaj.

– Chciałbyś, żebym to powiedział, Kostia?

– Tak, Wowa, chcę, żebyś to powiedział.

Władimir gapił się na niego, usta złożył w uśmieszek. Gdzieś w głębi tego, co zostało mu z umysłu, wciąż pojmował, że władza to władza, a nie ma większej jej manifestacji niż możliwość pokrzyżowania komuś szyków, nieważne, jak błaha to okazja czy jak trywialne okażą się konsekwencje. Nawet jeśli w grę wchodziła jedynie odmowa wykrztuszenia z siebie nic niekosztującego zdania.

Lebiediew odczekał chwilę, a następnie odwrócił się i wypadł z gabinetu.

Pomieszczenie opustoszało. Ochroniarze i doradcy pobiegli za nim, opychając się resztkami przekąsek. Po chwili zostali jedynie technicy telewizyjni.

– Możesz go zabrać – realizator rzucił przez ramię do Szeremietiewa, gdy ekipa z telewizji zaczęła się zwijać. – Skończyliśmy.

Władimir rozejrzał się dookoła ze zmieszonym wyrazem twarzy.

– Koniec spotkania, Władimirze Władimirowiczu – powiedział Szeremietiew.



- Ale to ja wychodzę pierwszy! Zawsze to ja powinienem wychodzić najpierw.

- Wiem. To nietypowe. Ale nic nie znaczy. A teraz chodźmy na górę.

Szeremietiew pomógł Władimirowi wstać. Zanim dotarli do drzwi, obstawa Lebediewa zdążyła już zniknąć, mknąc po podjeździe do bramy.

## ROZDZIAŁ 2

Z tego, co wiadomo było Szeremietiewowi, przydzielono mu zadanie opieki nad Władimirem, ponieważ słynął z uczciwości. To dość zaskakujące – nie dlatego, że nie zasługiwał na taką reputację, ale wcześniej przynosiła mu jedynie docinki i pogardę.

Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich przeżywał ostatnie chwile, gdy Nikołaj Iljicz Szeremietiew, którego ojciec był brygadzystą w zakładzie farmaceutycznym, a matka księżową w metrze w Moskwie, kończył właśnie podstawówkę. Kiedy ukończył ostatnią klasę w liceum, Związek padł jak nieżywy, ugodzony prosto w serce. Szeremietiew pilnie odsłużył wojsko, większość służby poświęcając na kopanie fundamentów na placu budowy w Omsku. Naiwnie wyobrażał sobie, że stawia budynki wojskowe, choć nawet on nie był aż tak głupi, żeby nie zastanawiać się, dlaczego armia postanowiła zbudować kilka ogromnych wieżowców z apartamentami na samym skraju Syberii. W końcu znajomy rekrut oświecił go i wyjaśnił, że wszyscy pozostali najwyraźniej już wiedzą, iż kapitan zaprzął pluton do pracy w charakterze siły roboczej dla prywatnej firmy budowlanej. Oczekiwania

Szeremietiewa, że takie nadużycie niedługo się skończy zde-maskowaniem przestępstwa kapitana, czemu towarzyszyć będzie błyskawiczne i przykładowe ukaranie go przez dowódcę pułku, obróciły się wniwecz, gdy inny poborowy ujawnił, że dowódca nie tylko wie o szwindlu, ale i otrzymuje prowizję. Sami rekruci też nie byli świętoszkami. Sprzęt przepadał na placu budowy, potem przez moment stał w kącie koszar, po czym nazajutrz kompletnie rozpływał się w powietrzu. Inni potajemnie znikali na całe dni z jednym z sierżantów, najwidoczniej misje szły im świetnie, ponieważ wracali z wypchanymi portfelami. Z jakiegoś powodu nikt nie angażował w nic Szeremietiewa, który dowiadywał się o aferach dopiero po fakcie. Nawet gdyby wiadomości docierały do niego wcześniej, miałby za dużego stracha, by wziąć udział w przekrętach, co przypuszczalnie było jasne dla jego kamratów. Następnym razem, kiedy coś przeskrobia, złapią ich – taka myśl świtowała mu w głowie, a później powracała za każdym razem, gdy tak się nie działo.

Kapitan, nawiasem mówiąc, dostał awans na majora tuż przed końcem służby Szeremietiewa, zapewne za heroiczne działania na rzecz budowy, jak głosił krążący po koszarach dowcip.

Po odbyciu służby w wojsku Szeremietiew kształcił się na pielęgniarza, zachęcany do tego przez matkę, która powtarzała mu, że taki zawód pasuje do jego troskliwej natury. Śmiechu warte, bo wówczas próbował utrzymać rodzinę w Moskwie z pensji szpitalnej. Wcale nie było tak, że nie widział, co się wokół niego dzieje. Lekarze brali od krewnych pieniądze, by przyjąć chorego do szpitala. Pielęgniarki brały pieniądze za opiekę nad pacjentem, gdy już się tam znalazł. Kucharki za to, by go karmić. Pracunki brały pieniądze za to, że prały mu pościel, a sprzątaczkę, bo sprzątały dla niego oddziały. Nie dało się załatwić żadnej sprawy, o ile nie posmarowało się paroma rublami. Z jakichś powodów on tego

nie potrafił. Może chodziło po prostu o strach, że go złapią. Równie dobrze mogło to być zupełnie co innego. Gdy widział na oddziale dwóch pacjentów, coś zawsze ciągnęło go do tego biedniejszego. Dziadek Mróz – tak nazwali go współpracownicy, wcale nie z podziwem czy tonem, którego można by użyć wobec poważanego i nieprzekupnego kolegi, ale sztywno, w najlepszym razie z politowaniem, głosem zarezerwowanym dla idioty.

Ton głosu żony oscylował gdzieś pomiędzy jednym a drugim. Czasami Karinka mówiła mu, jakim to jest dobrym i skromnym człowiekiem i jak bardzo kocha go za szczerść, ale innym razem powtarzała, że jest głupcem. Mieli jednego syna, Wasilija, który kończył teraz dwadzieścia pięć lat i musiał radzić sobie sam. Szeremietiew nie miał mu nic do zaoferowania poza radami, a Wasilij i tak go nie słuchał. Był zamieszany w jakiś biznes, Szeremietiew miał o tym blade pojęcie, a wnioskując ze strzępków informacji, które zaserwował mu Wasilij, nie chciał wiedzieć nic więcej. Syn powiedział, że jego praca polega na pomaganiu innym ludziom, ale kiedy Szeremietiew spytał, jakiego rodzaju to pomoc, żadna jasna odpowiedź nigdy nie padła. Nawet bez znajomości szczegółów Szeremietiewowi do głowy przychodziła ta sama myśl co w wojsku czy szpitalu. Ktoś się dowie. Coś się stanie. Wasilij się śmiał.

– Wszystko gra, dopóki odpowiedni ludzie są zadowoleni. – Mówił to tak, jakby to on był ojcem, a Szeremietiew naiwnym synem. – W Rosji nie ma innej drogi. Wszyscy nią idą, poza tobą, tatku.

Co Karinka powiedziała, gdyby zobaczyła, co wyrosło z Wasilija, tego Szeremietiew nie wiedział. Umarła z powodu infekcji, która w końcu wyniszczyła jej nerki. Szeremietiew pracował wówczas jako starszy pielęgniarz w szpitalu publicznym na oddziale dla pacjentów z demencją. Kilka miesięcy po tym, jak zmarła Karinka, profesor Kalin, ordynator

oddziału, wezwał go do gabinetu. To zaskoczyło wszystkich, nie tylko Szeremietiewa. Zwykle profesor Kalin znajdował czas, by wizytować oddział, którym rzekomo miał kierować, zaledwie dwa razy do roku. O ile wszyscy jakimś cudem nie przespali pięciu miesięcy, to od czasu poprzednich odwiedzin minęły tylko cztery tygodnie. A jednak był tu i przechadzał się po oddziale, ani trochę niezmięszany, wypytując o Szeremietiewa.

Tego dnia w gabinecie Kalin orzekł, że słyszał, iż Szeremietiew jest pielęgniarzem nie tylko o najlepszych kwalifikacjach, ale też niespotykanej rzetelności, o ile taki opis – rosyjski pocziwiec – nie czynił z niego chodzącego oksymoronu. Szeremietiew wzruszył ramionami, nie wiedząc, co to oksymoron, ani tym bardziej, czy nim właśnie jest. Kalin stwierdził, że niedawno zdiagnozowano demencję u kogoś, kto niegdyś był niezwykle ważnym urzędnikiem publicznym. Dziś diagnozę obejmuje nadal tajemnica najwyższej wagi. Spytał, czy Szeremietiew byłby gotów zrezygnować z pracy w szpitalu i zaopiekować się tą osobą. Pielęgniarz zawahał się, myśląc o pacjentach na oddziale i ich rodzinach, zbyt biednych, by bez wahania wyskoczyć z paru rubli, bo nimi należało posmarować, aby ruszyły opieszale trybiki służby zdrowia. Rodziny te prawie całkowicie polegały na nim, kiedy przychodziło upewnić się, że ich krewny otrzyma choćby basen. Kalin zastanawiał się, co takiego musi dziać się w jego głowie. Pochylił się nad biurkiem.

– Nikołaju Iljczu – powiedział. – Naród cię wzywa. Nie możesz powiedzieć „nie”.

Szeremietiew czuł się w obowiązku, by odpowiedzieć na ów patriotyczny apel – i w ten sposób dowiedział się, że pacjentem jest nie kto inny, tylko Władimir Władimirowicz we własnej osobie.

Oczywiście Szeremietiew wiedział, że Władimir niedawno ustąpił ze stanowiska prezydenta, lecz podobnie jak cała

reszta Rosji nie miał pojęcia, jakie były tego prawdziwe powody. O uszy nie obily mu się nawet plotki. Choć miał spore doświadczenie pielęgniarskie, z początku w pewnym sensie przepelniał go podziw. To nie błahostka odkryć, że człowiek, który jeszcze parę miesięcy temu był prezydentem federacji, teraz jest pacjentem. Próbował jednak opanować ten odruch i traktować byłego prezydenta tak samo jak każdego innego pacjenta – zachowując zdrowy rozsądek, delikatnie i łagodnie. Ale Władimir mu tego nie ułatwiał.

Gdy Szeremietiew odwiedził go po raz pierwszy, były prezydent miał sporą świadomość tego, co się z nim dzieje. Zdawał sobie sprawę z luk powstających coraz częściej w jego pamięci i z tego, co sobą zwiastowały. Wtedy często wybuchał gniewem, a wybuchy te niekiedy potrafiły ciągnąć się godzinami. Szeremietiew starał się, jak mógł, by mieć na niego kojący wpływ, mimo to wciąż rykoszetem obrywał obelgami. W końcu sama obecność pielęgniarza przypominała eksprezydentowi o jego stanie. Szeremietiew przyjmował to wszystko na klątę. Wzburzenie i złość, jak wiedział, są częste w początkowych stadiach demencji, kiedy ludzie wciąż potrafią objąć rozumem czekającą ich przyszłość – często spotykał się z tym u innych pacjentów. Czy Władimir Władimirowicz, tylko dlatego, że pięć razy był prezydentem i dwa razy premierem Federacji Rosyjskiej, nie miał prawa złorzeczyć na okrutny los, tak jak robili to inni? Człowiek piastujący takie stanowiska – sądził Szeremietiew – musiał cechować się pierwszorzędnym umysłem, a jego utrata jest proporcjonalnie bardziej bolesna. Dlaczego nie miałby tego oplakiwać?

Jednakże pojawiło się zagrożenie, że wybuchy gniewu zaczęły przybierać już nie tylko werbalną formę. Istniało niebezpieczeństwo, że Władimir wyrządzi krzywdę zarówno innym, jak i sobie. Profesor Kalin wypisał więc receptę na środki uspokajające: tabletki na noc oraz w razie potrzeby zastrzyki, jeśli same pigułki nie wystarczą.